Katarzyna Śniadecka

"Nie cierpię fanatyzmu" – rozmowa z Marią Moczulską

Obecnie historycy coraz bardziej dostrzegają rolę kobiet w opozycji, bo przecież rola kobiet, mimo że trochę w cieniu, była bardzo istotna. Czy według Pani, Służba Bezpieczeństwa też „doceniała" rolę kobiet?

To nie zależy i nie jest związane z płcią, a raczej z indywidualnością. Były kobiety, które się w sposób znaczący angażowały w działania swoich mężów, bo na ogół tak było, że to były małżeństwa, *vide* Gajka i Jacek Kuroniowie, Romaszewscy, Moczulscy. Natomiast były panie, które nie życzyły sobie wręcz tej działalności swoich mężów. Były to panie, które spowodowały, że prędzej czy później oni musieli się wycofać. Poparcie kobiety w tamtym czasie było absolutnie konieczne. Nie ze względu na działanie samej kobiety, które było ważne, ale ze względu na to, że człowiek, który się angażował w działalność potrzebował, aby wiedzieć, że jego żona i rodzina stoją za nim murem, niezależnie od tego, czym się ryzyko działania dla niego skończy. A mogło się skończyć różnie. Znamy wypadki, kiedy kończyło się bardzo źle, ale tam, gdzie kobieta stała za swoim mężem, czy za swoim chłopakiem, tam on był oczywiście dwa razy silniejszy. Mój mąż nie musiał nigdy martwić się z czego będziemy żyli. Nie martwił się, czy ma jeszcze żonę, dom czy swoje zaplecze, to jest istotna rzecz, która wzmaga determinację, wzmacnia działanie i widzimy to do dzisiejszego dnia, że takie pary współdziałające ze sobą stanowią o wiele większą siłę, niż każdy z nich pojedynczo. Myślę, że jest grono kobiet opozycji, które się znacząco w naszej historii zapisały.

Czy SB kiedykolwiek nękało Panią lub szantażowało? Czy funkcjonariusze dali Pani odczuć, na ile jest Pani przez swoje wpływy i działania dla systemu niebezpieczna?

Oczywiście, że tak. Nękało, starało się obrzydzić życie, męża i wszystko inne. Szantaż polegał przede wszystkim na tym, że bałam się o córkę Elżbietkę, bo była to młoda dziewczyna. Natomiast mnie nie bili, żadnych tego typu fizycznych dolegliwości nigdy nie miałam, ale oczywiście uniemożliwiali normalne życie. Uniemożliwiali mi pracę, co jest podstawową rzeczą. Zniszczyli u podstaw moją karierę naukową, ale myślę, że nie były to tak strasznie dolegliwe doznania, żeby tego nie można było znieść.

Jestem Warszawianką. Mieszkałam na ul. Szpitalnej 12 – dziś nie ma tego domu, ani tych domów i do dzisiejszego dnia pamiętam, jak matka żegnała swojego syna, który szedł do poczty powstańczej. Wtedy matki żegnały swoje dzieci, które szły walczyć i wiedziały o tym, że będą walczyć niemalże gołymi rękami z uzbrojonym po zęby, okrutnym i bezwzględnym wrogiem. Taką wielką ofiarę gotowe były ponieść bez szemrania. To, co my mogłyśmy ofiarować, było cieniem tamtej daniny dla Polski.

W jakich okolicznościach poznała Pani Leszka Moczulskiego?

Jako studentka przychodziłam robić zastrzyki jego psom i wtedy go poznałam. Jak byliśmy wolni to się pobraliśmy.

Pani pobierała nauki w Warszawie? Jakie to były studia?

Ja jestem Warszawianką od wielu pokoleń. Groby mojej rodziny są z dawien dawna na Cmentarzu Bródnowskim. Najpierw studiowałam na Politechnice – elektronikę, ale przerwałam studia i poszłam na weterynarię. Wtedy poznałam Leszka Moczulskiego.

A jak Pani poznała Leszka Moczulskiego to była Pani zaangażowana w jakąś działalność polityczną, społeczną?

Wtedy nie. On działał, ja nie. Ja chciałam przebudowy warunków na moim wydziale i razem z kolegami wstąpiłam do PZPR. Byłam wtedy pod koniec V roku, już po praktykach dyplomowych. Mieliśmy postulaty, żeby na uczelnię przyjmowano z konkursu świadectw, a nie według znajomości i innych kryteriów politycznych. Drugi postulat dotyczył transparentnych zasad obsadzania stypendiów za granicą. To były nasze główne dążenia. Dużo udało nam się zrobić. W przeciągu roku opanowaliśmy na tyle nasz wydział, że postanowiono rozwiązać młodzieżową podstawową organizację partyjną na wydziale.

Wyrzucili mnie z partii. Nie rozbiłam co prawda PZPR-u, ale parę razy PZPR próbował rozbić mnie. Nie wyszło im to na dobre.

Skończyłam studia i wszyscy się rozpierzchli.

A jak Pani pamięta początek opozycyjnej działalności politycznej, jaki to był moment?

To mąż mnie wciągnął. To było niezależne ode mnie, bo tam, gdzie on był, tam przyjeżdżali ludzie, tam były spotkania, nocowali u nas, tworzyła się swoista centrala. I tak to się rozwijało. Jak Ojciec Święty przyjechał po raz pierwszy do Polski, to u nas w mieszkaniu koczowało 30 osób. Każdy musiał się umyć, zjeść, przespać. Ja się z nimi wszystkimi zżyłam osobiście. Opozycja dziś, to brzmi, jakby to były legiony. A naprawdę my wszyscy w Polsce znaliśmy się, bo była nas garstka. Kapeenowcy i korowcy – to były dwa główne skrzydła opozycji. My byliśmy piłsudczycy, oni lewica laicka, co wcale nie oznaczało, że oni byli areligijni. Tak jedni, jak i drudzy mieli znakomite stosunki z przedstawicielami Kościoła.

Co Pani pamięta z aresztowania męża 23 września 1980 r.? Czy to było zaskoczeniem dla Pani?

Nie. O tym, że w tym dniu zostanie aresztowany, to było niewiadome, ale to, że będzie siedział, to było wiadome, bo ciągle w naszym mieszkaniu odbywały się dziesiątki rewizji całodziennych, dziesiątki zatrzymań na 48 godzin, które się przedłużały, niektóre nawet do 2 tygodni. SB robiła to w ten sposób, że przewożono ich z komendy na komendę i zaczynało się od nowa - 48 godzin. Zaskoczenia nie było. Kiedy w 1980 r. mój mąż zachorował na zapalenie płuc w zimie, bo ma taki zwyczaj, to powiedziałam, że nie będę go leczyć, tylko zawołam lekarza z przychodni, o ile nie rzuci palenia papierosów. Ponieważ palił odpalając jednego papierosa od drugiego do 5 paczek dziennie, a jak już kończyło się 5 paczek, to przerzucał się na fajkę, a jak już gasła, to powracał do papierosów i wszystko w domu śmierdziało dymem, było żółte, przesiąknięte nikotyną a on był chudy jak szczapa, skóra typowa dla palacza. Kiedy zachorował powiedziałam mu:

- ”Kochany, jak pójdziesz siedzieć, bo mówisz o tym bez przerwy, to co zrobisz w więzieniu? Oddasz, ojca, matkę, żarcie, wszystko za papierosa, a na widzenie nie przyniosę, bo nie wolno po prostu! Więc, jeśli chcesz być twardy w więzieniu, jak jesteś w rzeczywistości, to musisz rzucić palenie”.

A że był tak ciężko chory przyszło mu to w pierwszym momencie lekko, potem było ciężko, bo to był głęboki nałóg nikotynowy, jadł cukierki toffi cały dzień, w samochodzie stała torba, aż dziw, że nie dostał cukrzycy. To było w 1979 r., kiedy Ojciec Święty przyjechał do Polski. Ja rzuciłam palenie po nim, jak Ojciec Święty był na Błoniach.

Ale nie paliła Pani tak dużo, jak mąż?

Nie. Ja paliłam paczkę dziennie. Pracowałam w Instytucie Gruźlicy, gdzie ludzie umierali na raka płuc lub krtani. To rodzaj umierania świadomego do ostatniego dnia, kiedy chory się dusi. Nic mnie to nie nauczyło. Trzeba się uczyć na własnej skórze, a nie cudzej.

Ale kiedy Ojciec Święty poprosił nas... To było zupełnie niezwykłe! Staliśmy się zupełnie innymi ludźmi, zupełnie inaczej zmotywowanymi, nawet niż jesteśmy dzisiaj. Powiedział mianowicie, że wie o tym, że pragniemy walczyć o dobro Polski, o dobro ojczyzny i że trzeba tę walkę zaczynać od siebie. Prosił, aby rzucić mocne alkohole – w Polsce piło się wtedy spirytus i wódkę – i papierosy. "Jeżeli to zrobicie – mówił – to będzie pierwszy wasz krok, pierwszy czyn dla ojczyzny". I wie pani, że zostawiłam na tych Błoniach w Krakowie paczkę papierosów i nigdy już więcej nie zapaliłam. To było dla mnie tak bardzo przemawiające, bo On wszedł z konkretem w naszą wspólną walkę, bo to była wspólna z Nim walka.

Przemyciliśmy tam na Błonia dwa wielkie balony meteorologiczne wypełnione lekkim gazem, a do tych balonów, kiedy Ojciec Święty wjeżdżał na Błonia był przyczepiony na 2 prześcieradłach namalowany orzeł w koronie (wtedy orzeł w koronie był w ogóle poza obiegiem). I jak Ojciec Święty wjeżdżał na Błonia, to te balony zostały wypuszczone. Jeszcze ksiądz prowadzący celebrę mówi: „Macie takie piękne balony, puśćcie je dla Ojca Świętego!". Pomyśleliśmy wtedy, że jednak Bóg czuwa nad wariatami. W tym momencie balony zaczęły się unosić, a Ojciec Święty aż ręce wyciągnął, jak zobaczył z daleka tego wielkiego orła w koronie. To był wzruszający widok.

A pamięta Pani okoliczności tego aresztowania męża w 1980 r.?

Nie, bo to się odbyło poza domem. Zgarnęli go poza mieszkaniem i przyjechali już bez niego. Poza tym nie wiadomo było, czy to na 48 godzin, czy na 3 miesiące. Wyobrażałam sobie, że w najgorszym wypadku na 3 miesiące. I nagle straszliwa nagonka prasowa, bo to był po Porozumieniach Gdańskich pierwszy opozycjonista, który poszedł siedzieć. „Konfederacja politycznej prowokacji" - tak pisali tacy panowie od propagandy. Nagle stwierdziłam, że lista moich przyjaciół i znajomych, częściowo i rodziny, strasznie się skróciła. Ale byłam na tyle zawziętym i dorosłym człowiekiem, że postanowiłam, że ci, którzy wtedy zniknęli, to już na tę moją listę nie wrócą. Nie wrócili do dzisiaj. Bardzo dużo osób wtedy bało się po prostu. Mieliśmy opinię ogromnie radykalnych.

Może i tak było, może byliśmy radykalni? Dlaczego? - Dlatego, że mój mąż twierdził i uczył nas wszystkich tego, że nie wolno w polityce oszukiwać mocniejszego przeciwnika. Mówił, że jeśli będziemy prowokować ZSRR fałszywymi opowiadaniami, to oni dla swojego międzynarodowego prestiżu będą musieli w nas uderzyć. My mamy mówić od razu, jaki jest nasz cel, bo być może oni tak ułożą te sprawy, że my będziemy mogli od razu ten cel najważniejszy osiągnąć. Twierdził, że ZSRR jest zbyt zdezintegrowany, za słaby wewnętrznie, żeby uderzyć na Polskę zbrojnie, tak jak na Węgry w 1956 r. czy na Czechosłowację w 1968 r. Natomiast być może da nam kawałek przestrzeni do działania. Wszystko to się sprawdziło.

Ja i Leszek wiedzieliśmy, że będzie siedział. To było wliczone w koszty, tylko nie było wiadomo jak długo i jak dotkliwie. Siedział długo.

Początkowo chciano mu zrobić proces kapturowy, ale nie dopuściliśmy do tego. Wszyscy wiedzieli, że Moczulski i czołówka KPN-u siedzi w więzieniu. A nie było łatwo tę wiadomość rozprzestrzenić, bo było szaleństwo "Solidarności", która nie chciała konkurencji.

Czy działania w Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania były potrzebne i jak Pani ocenia swoje zaangażowanie w tę działalność?

Zorganizowanie KOWzaP-ów było przede wszystkim konieczne. Oczywiście, znalazły się strasznie „mądre" osoby, które na naradach dyskutowały nad tym, że tak, oczywiście, trzeba będzie ostrożnie zacząć bronić tych uwięzionych, np. robiąc konkurs na plakat w obronie więźniów, podzielić obronę na etapy, rok pierwszy, kolejny i... zamknąć sprawę, bo będzie już po wyroku.

No więc ja byłam wobec nich bardzo niegrzeczna, niemiła. Powiedziałam im, że mogą sobie swój plakat... A to były nazwiska! Znane i eksponowane do dnia dzisiejszego... Jedyna rzecz, którą udało mi się zrobić, to pozwolono mi powiedzieć kilka słów, miałam tam może 2 minuty, na zjeździe "Solidarności" Mazowsza w Teatrze Wielkim czy Sali Kongresowej (już nie pamiętam). Powiedziałam, że będę starała się uchronić i uratować mojego męża przed sądem kapturowym i złapałam tam pierwsze kontakty. Jak nawiązałam kontakty z zakładami pracy, to mogli mi „posypać sól na ogon", jak się mówiło kiedyś, bo ja już sobie poradziłam. Jeździłam wtedy po całej Polsce, od świtu do nocy i spotykałam się z ludźmi.

"Solidarność" mi nie pomagała. "Solidarność" była zajęta organizowaniem związku. Bardzo słusznie!

Czy „Solidarność" mogła liczyć na lepszą pozycję w rozmowach z władzami za cenę „nieupominania się" o uwięzionych?

Nie jestem o tym przekonana. Zawsze mówiłam, że nie będziemy chować się ani za portki Wałęsy, ani sutannę Ojca Świętego, to nieuczciwe walczyć zza cudzych pleców. My mieliśmy odwagę mówić, jakie są nasze cele, marzenia, pragnienia i o co walczymy. Nie musieliśmy mieć do tego ani osłony Kościoła, który byśmy narażali, bo my sami jesteśmy katolikami, ani "Solidarności", która była jeszcze za młoda, jeszcze ząbkowała. Myśleliśmy jak się ukształtuje, to wtedy będzie nam mogła pomóc. Koniec. Takie było moje zdanie. I to było słuszne. Chowanie się za czyjś autorytet, za czyjeś zasługi jest nieuczciwe. Każdy powinien ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. Nie da się żyć na cudze konto. Po prostu.

Ja już nie pracowałam w Instytucie, musiałam na prowincję uciekać, ale dzięki temu miałam większą swobodę. W tych wielkich zakładach pracy, gdzie jeździłam, najbardziej zapadł mi w serce Śląsk. Śląsk wspominam bardzo ciepło. Tam były spotkania z górnikami, ogromne sale, ogromna ilość ludzi, oni świetnie rozumieli, co ja mówię, byłam taką „ciotką rewolucji" w najgorszym znaczeniu. To, co mówiłam było bardzo populistyczne, nie byłam przygotowana do tego ani politycznie, ani naukowo, jako historyk czy politolog. Ale nie było źle!

W KOWzaP-ach pod koniec było do 100 tysięcy ludzi. Zaangażowani byli do tego stopnia, że chcieli wyrzucać podstawowe organizacje partyjne ze swych lokali w zakładach pracy, mówiąc, że jeśli

nie dostaną pokoju na działalność KOWzaP-u, to partia też żadnego lokum nie będzie miała. Dużo ludzi było w KOWzaP-ach w Radomiu, Białymstoku. Był to trudny czas nienormalnej pracy, bo to była praca propagandzisty, ale były widoczne efekty.

W tym czasie toczył się już proces Konfederacji Polski Niepodległej, sala była pełna. Trzeba było mieć przepustkę. Przepustki wydawał znany dziś sędzia Kryże. Ja wtedy do Warszawy jedynie wpadałam, ale nie mieszkałam w Warszawie. Klucz do mojego mieszkania mieli górnicy i nie wiem, kto jeszcze, podawali sobie jedni drugim, to był wtedy darmowy hotelik. Tempo życia było takie, że się nie liczyło dni, godzin, to nie było ważne.

Jedną z trudności był brak benzyny. Dla osoby, która jeździła samochodem, problemem nie był brak jedzenia, ale brak benzyny właśnie. Chłopaki na stacjach benzynowych tak mnie już znali i byli tacy fajni, że jak podjeżdżałam dużym fiatem, miałam zamontowany drugi bak od żuka w bagażniku, który niebezpiecznie obciążał samochód, ale nie miało to dla mnie większego znaczenia, panowie ze stacji lali do tego drugiego baku. Jak oczekujący klienci się niecierpliwili, to oni mówili - „Chwilę, mam dziewczynę...".

Chciałam zapytać o najciekawsze, najsilniejsze wspomnienia związane z procesem 1981-82?

Ja z samego procesu mam mało wspomnień, ponieważ w tym czasie cały czas pracowałam. Wpadałam na proces, wieszałam się mężowi na szyi, o ile mogłam do niego dojść i jechałam dalej. Byłam w trasie. Gdybym siedziała sobie na procesie, to byłoby to bardzo niekorzystne.

Walczyłam o dwie sprawy: żeby proces Leszka i jego kolegów był jawny oraz by oni odpowiadali z wolnej stopy, co też osiągnęłam. Tylko mnie oszukano, bo w momencie kiedy prowadziłam głodówkę w Katowicach i wylądowałam w szpitalu, to go ponownie aresztowali, jak ode mnie jechał z odwiedzin. Ale ta dwutygodniowa przerwa też była ważna, bo on się wtedy odbudował fizycznie i psychicznie.

Nie walczyłam tylko o mojego męża – ale o wszystkich więzionych za przekonania, bez rozróżniania ich przynależności partyjnej czy politycznej. Przyjechał do mnie trzeci z braci Kowalczyków – Narcyz. Powiedział, że nikt nic w ich sprawie nie robi.

- „Czy ja mogę dołączyć?".

- „Może pan ze mną jechać, proszę bardzo".

Ale wizerunkowo nie było to korzystne, żeby ze mną on z ojcem jeździli. Płacząca kobieta, której zabrano męża, wygląda inaczej niż ekipa i to w męskiej obsadzie. Ja dołączyłam i bardzo uczciwie do końca walczyłam o sprawę Kowalczyków z pozytywnym efektem zresztą. Moim zadaniem było przedstawić sprawę Kowalczyków w prawdziwym świetle, bo oni byli traktowani jak terroryści, a skazani zostali jako polityczni. Za zwykłe zburzenie budynku można było dostać 8 lat maksymalnie, natomiast ich chciano załatwić: jeden dostał karę śmierci, drugi – dożywocie. Później to zostało zmienione, na skutek interwencji Kościoła zostali wypuszczeni.

Uważam, że postąpiłam słusznie, bo gdybym tylko i wyłącznie walczyła o ludzi z KPN-u, którzy siedzieli w więzieniu, to moja motywacja i odczucia moralne byłyby o wiele niższe. Tymczasem, gdy przywódcy KPN poszli na wolną stopę, ja dalej głodowałam, ponieważ siedzieli Kowalczykowie. To dało

mi siłę na następne lata – wtedy, gdy mój mąż przebywał w więzieniu. Przetrwałam to bez uszczerbku na psychice. A trzeba wiedzieć, że osoby bliskie więźniowi też są w więzieniu...

A więc to walka dała Pani siłę?!

O tak, oczywiście. Uświadomiła mi, kim jestem, ile człowieczeństwa jest w człowieku i jak dalece trzeba o to dbać. To było bardzo ważne doświadczenie.

Jak Pani wspomina lata uwięzienia męża? Jak wyglądała codzienność po procesie? Czy opresje trwały dalej?

Tak. Ale wie pani, kiedyś nazywano mnie „wańką – wstańką". Ja mam taką naturę, że jak się otrząsnę, to wstaję i idę dalej. Mam wewnętrzną pogodę ducha, takie specyficzne poczucie humoru w stosunku do rzeczywistości. Poza tym mam cudowną córkę, mąż też ją uwielbia, która stanowiła dla mnie wartość pierwszą.

Jak wygląda życie osoby, która ma bliskiego w więzieniu? Od widzenia do widzenia, od spotkania z adwokatem do spotkania z adwokatem, od paczki do paczki... Ja przeczesałam szlak, Leszek siedział jako pierwszy.

Po 13 Grudnia uczyłam dziewczyny, jak konstruować paczkę. Paczka mogła się składać z opakowania i zawartości maksymalnie do 3 kg na miesiąc, czyli 10 dekagramów na dzień. Paczka mogła zwierać owoce krajowe, wyroby piekarnicze, cukier i inne tego typu. Nie wolno ani papierosów, ani czekolady, ani żadnych im podobnych. Opakowanie musiało być takie, żeby można było sprawdzić ich zawartość – nie szkło czy metal...

Otóż śliwki suszone, te amerykańskie, są świetnym magazynem na czekoladę, bo do każdej śliwki można wsadzić co najmniej pół kostki czekolady. Można było podać wędlinę czy mięso – to ja dawałam salami. Chodziło o dostarczenie białka. Polędwica i smalec pakowaliśmy w plastikowe pudełka, które składały się głównie z pokrojonej szynki zalanej gorącym smalcem. Poza tym zupy w proszku. Ja podawałam puree z grochu, zupy, które dostawali w więzieniu to były takie „berbeluchy", więc dodawali do nich ten groch – to było pożywniejsze. Chodziło o to, żeby przetrwali w jak najlepszej kondycji fizycznej. To, że Leszek przetrwa dobrze psychicznie, to ja dobrze wiedziałam...

Proszę powiedzieć, jaka była rola kobiet w tym procesie po tej drugiej stronie krat? Czy była jakaś współpraca między paniami? Jakie wypracowane zostały praktyki oporu kobiet, jakie przybrały formy?

Przed stanem wojennym adwokaci załatwili, że można im było przynieść posiłek, więc mieli solidne posiłki w trakcie procesu w sądzie cywilnym. Ludzie z Polski przywozili mięso, kilka pań gotowało, smażyło, pichciło obiady, bo oskarżeni byli od rana do wieczora na sali sądowej i nie otrzymywali jedzenia w więzieniu. Te panie współpracowały ze sobą, ja jestem trudna w kontaktach i niemiła, ale one ze sobą dobrze współpracowały i panowie mieli dobrą opiekę cały czas. Była tam Janina Moczulska - matka Leszka - żołnierz Armii Krajowej, szalenie twarda i mocna kobieta. Ona się nimi opiekowała.

W stanie wojennym Leszek i koledzy z Rady Politycznej zostali postawieni przed sądem wojskowym, został sprowadzony sędzia Marcha ze Szczecina, bo uznano, że dotychczasowy

Aleksandrow jest zbyt łagodny, a tu trzeba szybko i już. Wtedy juz nie pozwolono na dokarmianie oskarżonych w sądzie.

Wyrok na KPN został wydany w dniu, w którym zostało ogłoszone zdelegalizowanie "Solidarności" (8 października 1982 r.). Moim zdaniem chodziło o to, żeby milicja, wojsko pojechało do Katowic, Gdańska czy Krakowa, gdzie się spodziewano strajków, a tutaj tej "bandzie" z KPN mieli zamiar zaproponować broń, żeby zrobili grupę i próbowali odbić swoich przywódców. Była taka prowokacja SB... Dwa razy w tym czasie proponowano mi broń: raz po aresztowaniu a drugi raz, jak miał zapaść wyrok.

W stanie wojennym podrzucono mi też przez prowokatora mikrofilmy, które rzekomo zostały przerzucone z zagranicy. Materiały te bez żadnych osłonek sugerowały podjęcie zorganizowanej walki zbrojnej. Ale sobie poradziłam, żeby ich nie znaleźli. Po te materiały, które przyniosła do mnie podstawiona osoba, SB przyszła nazajutrz rano. Ja byłam w pracy i jak wróciłam, to już byłam „pod opieką", pani funkcjonariusz, która przeprowadziła kontrolę osobistą. Materiały te schowałam poprzedniego dnia wieczorem w mojej sypialni. Poprosiłam więc, że pójdę do sypialni i się przebiorę, bo przecież jestem prosto z pracy. Pozwolili. Weszłam, drzwi zamknęłam, założyłam na siebie podomkę, biustonosz i te trefne slajdy wepchałam pod biustonosz. Wyszłam i pytam - "Czy jeszcze chce pani coś sprawdzić?". -"Nie, nie – to wystarczy" – odpowiedziała pani funkcjonariusz.

Co było na mikrofilmach?

Plany zorganizowania akcji zbrojnych. Gorący materiał. Jak się okazało ten materiał w jakiś sposób wypłynął na procesie KPN - przekazał go „jakiś uczciwy znalazca" do ambasady polskiej w Szwecji, no bo tutaj się nie udało. Ale sprawa została już spalona.

Proszę powiedzieć, czy miała Pani stosowne wsparcie, pomoc od obrońców, adwokatów?

Tak. Mieliśmy wspaniałych adwokatów – naszą „stajnię" firmował adwokat De Virion – wspaniały prawnik, pierwszy po odzyskaniu niepodległości ambasador polski w Londynie. Był jego przyjaciel Edward Wende, potem był śp. Jerzy Woźniak, który był członkiem KPN – wspaniały chłopak. Piotr Andrzejewski, który został senatorem PiS-u, oddany i odważny człowiek. Leszek Piotrowski z Katowic, Krzysztof Piesiewicz – czołówka palestry, Siła-Nowicki...

Prezes Izby Adwokackiej – Dubois bronił *pro bono*, było 10 adwokatów, naprawdę byli wspaniali. Wiadomo, że byli podsłuchiwani w rozmowach ze swoimi oskarżonymi, starali się przemycić im trochę jedzenia, czy jakieś wiadomości z domu czy spoza domu. Nie brali od nas pieniędzy, tylko zespoły adwokackie brały podstawowe kwoty.

Klawisz, który mnie lubił, przyjmował moje paczki dla Leszka, które ważyły 4,5 kg. Jak już mąż wychodził z więzienia, to mnie zapytał:

- „Czy pani wie, pani Moczulska, dlaczego ja zawsze panią tak faworyzowałem?

– „Zastanawiałam się?" – odpowiedziałam. - „Ze względu na wiek ani wpływ mojej przekonywującej urody – chyba nie".

– „Bo ja panią znam. Poznałem panią, jak pani prowadziła manifestację 100 tysięcy ludzi 11 listopada w 1980 r. przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Pani szła na czele tej manifestacji w takim białym

krótkim futerku z wiązanką biało czerwonych kwiatów i takiej pięknej czapce z takim wielkim tutaj klejnotem. Wyglądała pani, jak królewna. I wie pani co, ja panią potem ochraniałem, bo wiedziałem, że ubecy chcą dać pani łomot. Wtedy panią zapamiętałem i kiedy panią zobaczyłem teraz, to pomyślałem: >O jest ta mała<".

A był to bardzo ostry funkcjonariusz, mówili na niego „Hitlerek". Ludzie nie są płascy, są wielowymiarowi i nieraz można odkryć takie oblicze człowieka, którego nawet nie podejrzewamy...

Jak oceniłaby Pani działania żon, matek, sióstr aresztowanych i uwięzionych w tym procesie? Czy to było współdziałanie i solidarność, czy raczej działania na własną rękę? Czy były jakieś ustalone działania, których się trzymałyście?

Brak współdziałania.

Co by Pani powiedziała dziś tym wszystkim Pani krytykom, utrzymującym, że Pani zbyt mocno ingerowała w sprawy kierownictwa KPN?

A kto miał to robić, jak nie ja? Dostawałam dyrektywy od męża, Leszek w dalszym ciągu był szefem, nie było zastępców i następców w KPN. Mąż był szefem. Po prostu. Kobieta nie jest, w środowisku tak twardych ludzi, jak w Konfederacji, obdarzona takim autorytetem, jaki był potrzebny przy kierowaniu, wydawaniu dyspozycji organizacyjnych. I dlatego później Krzysztof Król, który był bardzo młodym, ale mężczyzną, przekazywał strukturom polecenia Przewodniczącego. Krzysztof przekazywał i działał. A że ktoś krytykował i krytykuje?... Roboty było i jest tyle, że każdy coś może zrobić.

Leszka aresztowano, ja drukuję na cudzych maszynach ulotki o uwolnienie mojego męża i tych, których z nim wzięto. A tu nagle oświadcza mi jeden z tzw. przywódców, czyli kolegów mojego męża mu podległych, że będę sądzona. Mówi mi:

- „Staniesz przed sądem partyjnym za to, co robisz, bo zamiast wydawać teksty i ulotki na temat KPN-u, ty drukujesz o więźniach politycznych, odwracasz uwagę od sprawy".

Ja mu odpowiedziałam

- "Dla mnie sprawa to jest mój mąż, a chciałabym ten sąd partyjny zobaczyć!".

Do dzisiaj się nie pojawił. Każdy powinien działać, jak tylko potrafi w danym momencie zagrożenia. Mnie nie interesowało, co oni robią. Ponieważ nie robili tego, co ja robiłam, więc nie wchodziliśmy sobie w drogę.

Później żony nie pozwoliły im działać. Powiedziały, że jeszcze jedno aresztowanie i won! Dlatego oni założyli tajną organizację z pensjami! Mój mąż też miał pensję – moją. Ja miałam 3 posady – w Instytucie, w ośrodku przeciwgruźliczym na Czarnochy i wywiady prowadziłam z dziedziny bakteriologii dla pomaturalnej szkoły pielęgniarskiej. Wszystkie moje pieniądze były w KPN, ale dla mnie to było normalne...

I o czym my tu rozmawiamy, o tym, że ja nie tak formułowałam ulotki? No dobrze, też sobie to wyrzucam...

Chodziło o inne zarzuty, raczej takie, że np. pan Szeremietiew uważał, że zastępowała Pani jego rolę.

Nie chcę rozmawiać na ten temat. Niech mi to pani daruje. Nie będę wdawała się w szczegóły. Bo jest tych szczegółów za dużo.

Z perspektywy czasu, czy uważa Pani, że warto było przejść przez te czasy podziemne i walki?

Oczywiście!

Czy miała Pani w tamtym czasie poczucie strachu lub beznadziei? Czy raczej przeważały nadzieja i wiara w to, że wysiłki przyniosą kiedyś oczekiwane owoce?

Beznadziei – nigdy! Byłam związana z Leszkiem, nie mogłabym czuć beznadziei. To jest człowiek, który był i jest wizjonerem politycznym. Potrafił wszystko przewidzieć, ustawić w czasie i przestrzeni. Wspaniały jako historyk, mimo wszystkich jego wad. Wspaniały jako mąż, jako partner, bo dawał mi zawsze poczucie tego, że mam koło siebie człowieka niepowtarzalnego.

Miałam jeden cel szukając męża. Celem było spotkanie człowieka, który będzie inteligentny, o większej wiedzy niż ja i mój ojciec (mój ojciec był prawnikiem i to na bardzo wysokim poziomie intelektualnym). Chciałam mieć męża, który będzie mnie przewyższał pod tym względem, ale jakoś tak się zawsze okazywało, że ta inteligencja to jest tylko taka jakaś konsumpcyjna. Dopiero Leszek spełnia te wymagania, a ja mam poczucie, że mam jedyny egzemplarz takiego człowieka. To bardzo dużo.

A czy widzi Pani obecnie, że dziedzictwo KPN rezonuje w kolejnych pokoleniach?

Młode pokolenie zostało zdeprawowane przez polityków. Ci młodzi ludzie noszący znaki Polski Walczącej, to nie są ludzie źli. Są tylko wypaczeni i nienauczeni tego, czym jest Polska. Byłam zawsze bardzo dumna, że jestem Polką, tak, jak jestem dumna, że jestem Warszawianką. Dopiero, jak przekraczam granicę wracając do Polski, to czuję, że jestem cała. Mnie wszędzie za granicą brakuje Polski, Polaków, Warszawy. Ci młodzi ludzie nie zdają sobie sprawy, bo nie mieli szansy na to, żeby zrozumieć, jak wielką rzeczą jest nasza wspólnota narodowa. To nie jest wspólnota Polaków białych, żółtych, zielonych czy niebieskich. Nie! To jest Polska tych wszystkich, którzy utożsamiają się z dobrem tej części świata.

My po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. stworzyliśmy najlepsze rozwiązania demokratyczne w Europie. O takich rozwiązaniach Niemcy, Francuzi, Anglicy mogli tylko marzyć: prawa wyborcze dla kobiet, silna rola związków zawodowych, prawa strajkowe, prawa człowieka itd. To wszystko zostało w pierwszych dwóch latach po odzyskaniu niepodległości zbudowane przez Polaków, którzy wcześniej mogli tylko i wyłącznie marzyć o niepodległości, o własnym państwie. Odzyskaliśmy niepodległość i nagle okazało się, jak pełne są głowy i szuflady, pomysłów i rozwiązań.

A dzisiaj co? Nawet nie winię tych głupich szczeniaków... Tylko jest mi przykro. Dla mnie, to jest świętokradztwo, jak widzę – wchodzi łysol do supermarketu, ma kurtkę dżinsową, nadruk AK, tutaj orzeł. Cały jest wielkim partyzantem. A ja nigdy nie ośmieliłam się założyć opaski akowskiej będąc na tylu rozmaitych uroczystościach, mimo że moja cała rodzina była w Armii Krajowej...

Dzisiejsza Polska nie jest Polską Pani marzeń?

Polska jest Polską. Jest w Polsce ogromna ilość wspaniałych ludzi. Przede wszystkim ideowych, ale nie w sposób fanatyczny.

Nie cierpię fanatyzmu wszelkiego typu – to jest ograniczenie, to nie jest pójście w głąb, to jest zawężenie swoich możliwości, nie tylko swoich, ale naszego kraju.

Czerwiec 2018 r.